

# ZYCIĘ

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK III Nr 21/100

Londyn, dnia 22 maja 1949

CENA 9 d.

WŁADYSŁAW ANDERS

## W PIĘCIOLECIE BITWY O MONTE CASSINO

**P**IEĆ lat w życiu człowieka to okres niemały. Pięć lat w życiu pokolenia, to już znacznie mniejsza przestrzeń czasu. Pięć lat w życiu Narodu, to za ledwie chwilkę.

Jakież miernik przyłożyć do wydarzeń, których uczestnikami byliśmy, my, żołnierze polscy we Włoszech w maju 1944? Dla każdego z nas ubiegłe pięciolecie oznacza długi łańcuch przeżyć, rozczarowań, trudności. Dla nas, jako zbiorowości żołnierskiej, bitwa o Monte Cassino jest jeszcze wspomnieniem żywym, tętniącym krwią i pełnią bojowej namiętności. Dla Polski, dla całego naszego Narodu, walki o Górę Klasztorną, walki o drogę do Rzymu, są jednym z licznych kamieni milowych, które znaczą drogę do Wolnej Ojczyzny; marszerująca kolumna skierowuje na chwilę wzrok ku takiemu kamieniowi milowemu, a potem patrzy dalej przed siebie myśląc o celu końcowym i o przestrzeni, którą trzeba jeszcze pokonać.

Na przedwiośniu 1944 roku, gdy trzeba było podjąć decyzje bitwy, a potem w maju, gdy przyszło decyzję tę przeobrazić w czyn — był to moment zwrotny w sytuacji zarówno Polski, jak i świata.

Dla Polski był to okres ujawnienia — choć jeszcze nie pełnego — ponurych tajemnic konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie. Gdy część 2 Korpusu wylądowała już na ziemi włoskiej, a dalsze transporty płynęły z Egiptu, w brytyjskiej Izbie

Gmin ówczesny premier Churchill poraz pierwszy zakwestionował publicznie nasze prawo do Ziemi Wschodnich, prawo do Lwowa i Wilna. Mowa Churchilla, wygłoszona w niespełna trzy miesiące po konferencji teherańskiej, wywarła w szeregach Korpusu niezmiernie przygnębiające wrażenie. W tym czasie przeszło 80 procent żołnierzy Korpusu stanowili Polacy z Ziemi Wschodnich. Deklaracja Churchilla była dla nich nie tylko wyzwaniem polskich uczuć narodowych, ale także ciosem, wymierzonym w ich własny dorobek życiowy, w ich własny dom, w ich własne gniazdo rodzinne.

Dla świata był to okres poprzedzający decydującą inwazję aliantów na Zachodzie. W chwili, w której podejmowano decyzję wielkiej ofensywy anglo-amerykańskiej z południa Włoch — front włoski był jedynym frontem w Europie, w którym Hitlerowi i jego armiom stawiali czoło alianty zachodni. Rzym, stolica chrześcijaństwa, był jedyną stolicą, która mogła być w najbliższej przyszłości zajęte przez aliantów. Dlatego też ku południowym Włochom skierowany był wzrok setek milionów ludzi na świecie, którzy z zapartym tchem czekali, jaki będzie los rozpoczynającej się nowej fazy kampanii. To polityczne znaczenie włoskiego teatru wojny sprawiło równocześnie, że z Moskwy zorganizowano na cały świat propagandę, mającą na celu umniejszenie znaczenia walk we Włoszech i sprowadzenie ich do

roli jakichś lokalnych potyczek. Propaganda sowiecka głosiła, że ofensywa aliantów, która — po pierwszej fazie walk z lata i jesieni 1943 — utknęła na linii Gustawa, należy właściwie już do przeszłości. Podczas gdy wojska sowieckie zajmują coraz to nowe terytoria, alianty zachodni nie mogą nawet marzyć o tym, aby pobić Niemców we Włoszech i otworzyć drogę na Rzym.

Ten podwójny rozwój sytuacji — polski i międzynarodowy — miał dla wojska polskiego we Włoszech szczególne znaczenie. Mieliśmy zaatakować wojska niemieckie na odcinku wyjątkowo ciężkim, narażając się na bolesne ofiary, choć wiedzieliśmy już, że stosunek naszych zachodnich aliantów do sprawy polskiej układa się niepokojąco. Mieliśmy jednak równocześnie możliwość zwrócenia uwagi całego świata na fakt istnienia Polski Walczącej i zadokumentowania czynem żołnierskim, że właśnie tam, gdzie walka jest najcięższa i najistotniejsza w skutkach, sztandary polskie powiewają obok sztandarów narodów zachodnich. Splot okoliczności, zagadnień, motywów i celów działania, był więc doprawdy wyjątkowo skomplikowany.

Dołącza się do tego podwójna propaganda, skierowana przeciwko 2 Korpusowi. Nazywaliśmy ją propagandą „dwóch Wand”. Z jednej strony hitlerowcy zorganizowali audycje rozgłośni polowej „Wanda”, które nakłaniały żołnierzy polskich do dezercji i



do powrotu do okupowanej Polski. Dlaczego Niemcy wybrali dla swej stacji propagandowej nazwę „Wanda”, a więc imię tej legendarnej postaci naszych dziejów, która wolała śmierć niż małżeństwo z Niemcem — nie mogliśmy nigdy zrozumieć. Łączylśmy to żartobliwie z istnieniem drugiej propagandowej „Wandy”, tym razem po stronie sowieckiej, a mianowicie ostawionej Wandy Wasilewskiej, z tzw. Związku Patriotów Polskich w Moskwie. Otóż ta czerwona Wanda, a w ślad za nią cała potężna machina propagandy sowieckiej, głosiła od wielu miesięcy, że „generał Anders i jego malaryczne wojsko” uciekli po prostu z Rosji, aby nie bić się z Niemcami i że włóczą się po różnych krajach bez zadań i akcji bojowej. Jak silna była ta propaganda i jak szeroko się rozchodziła, dowodzi tego znamieny fakt, że dowództwo brytyjskie w Kairze, wydało komunikat prasowy demaskujący te kłamstwa w czasie, gdy wojsko polskie płynęło już ze Środkowego Wschodu do Włoch, by wziąć udział w kampanii wiosennej. W tym stanie rzeczy walka we Włoszech, bitwa o Monte Cassino była dla nas przede wszystkim bitwą o honor polskiego żołnierza, i o polityczne cele naszej Ojczyzny.

A wreszcie... dlaczegoż tego nie powiedzieć otwarcie — trawił nas jeszcze ciągle kompleks tragicznego września. Pałaliśmy żądzą odwetu za klęskę, poniesioną na własnej ziemi, klęskę, spowodowaną przede wszystkim naszą niższością w zakresie technicznym. Przez długich kilka lat marzyliśmy o tym, że nasze stalowe i pancerne zastępy zgniotą niemieckiego wroga i dowiodą mu, iż armia polska żyje i przeciwstawia się Trzeciej Rzeszy, której wódz ogłosił po kampanii wrześniowej, że Państwo polskie skończyło się raz na zawsze, a armia polska została starta w proch i pył.

Bitwa o Monte Cassino trwała tydzień. Pierwsze natarcie w

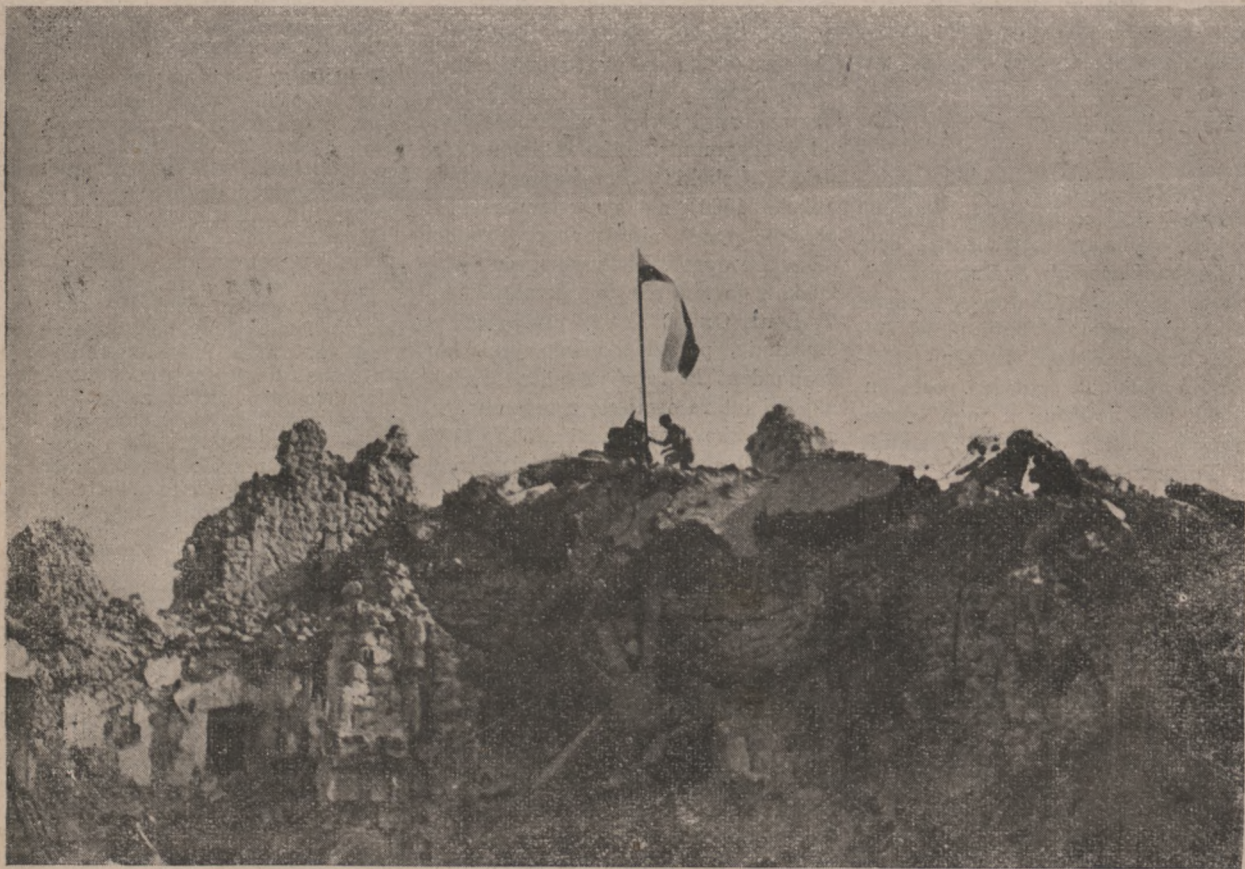
nocy z 12 na 13 maja, nie dało pełni powodzenia. Nadszedł dzień 17 maja, pamiętna noc z 17 na 18. Niemcy bronili się zapamiętale. Były chwile, w których wielu starych, zahartowanych w bojach żołnierzy na różnych szczeblach dowodzenia, traciło wiarę w zwycięstwo. Rzucaliśmy [do boju] wszystkie rezerwy, wydobywaliśmy z siebie resztki sił. W tych straszliwie ciężkich dniach i godzinach nie opuszczała nas jednak wola walki. Ta wola przyniosła w końcu zwycięstwo.

Gdy patrzę dzisiaj wokół siebie, gdy czytam listy nadchodzące od żołnierzy 2 Korpusu, rozsiadanych dziś po tyłu krajach i żyjących w ciężkich nieraz warunkach — przypominam sobie rozstrzygającą fazę walki o Monte Cassino. Trudności, jakie mieliśmy wówczas do pokonania były olbrzymie: straty, które musieliśmy ponieść były bolesne. A jednak nie cofnęliśmy się przed tymi trudnościami, nie załamaliśmy się ani duchowo, ani fizycznie. Ożywieni wolą walki o Polskę i o lepsze jutro naszego Narodu, dożyliśmy radosnej chwili, gdy na gruzach Klasztoru żołnierze polscy zawiesili flagę biało-czerwoną.

★

Otoczają nas ciągle jeszcze mgły i opary złudzeń w polityce światowej. Niejedna ciężka chwila mamy przed sobą. Wielu naszych kolegów myśli z głębokim smutkiem o tym, co już przeżyliśmy, i o tym, co nam jeszcze przeżyć może wypadnie. Wiem jednak, że po tej nocy — nadejdzie świt. Tak jak nadszedł 18 maja 1944 roku. Wówczas zmęczonym lecz uradowanym oczom naszym ukazał się tryumfalny symbol polskiego zwycięstwa, zatknięty na gruzach Monte Cassino. Jutro, ukaże się naszym oczom wspaniały obraz wyzwolenego kraju, ku któremu poprzez odmętę dziejowej burzy — wyciągamy z tęsknotą nasze wierne dtonie.

Władysław Anders



Pięć lat temu, dnia 18 maja 1944 r. żołnierze polscy zawiesili flagę biało-czerwoną na gruzach Klasztoru

ALEKSANDER KORSAK

DYSKUSJE

# Z ZACHODEM CZY ZE WSCHODEM?

**T**OCZĄCA się od szeregu tygodni na łamach ŻYCIA dyskusja o Wschodzie i Zachodzie zmusza mnie do rozszerzenia ram niniejszego artykułu, który początkowo zamierzałem poświęcić wyłącznie omówieniu stojących przed naszą emigracją zadań na tle zagadnienia politycznego Islamu, jak go określiliśmy w poprzednim artykule. (Por. „Narody Islamu“, ŻYCIE, Nr. 12 z dn. 20.III. r.b.)

Nie czuję się niestety na siłach, by wziąć udział w tej dyskusji w całej jej rozciągłości, gdyż zabiega się ona dość często o zagadnienia filozoficzno-religijne, co zupełnie przekracza moją kompetencję. Mój cel jest bardziej wąski i konkretny: stawiając pytanie — „Z Zachodem czy ze Wschodem?”, pragnąłbym tylko przyczynić się do wyrobienia takiej koncepcji dla dzisiejszej polityki zagranicznej Polski, która by jak najbardziej odpowiadała polskiej racji stanu, czyli, że mogłaby być przyjęta przez wszystkie większe obozy polityczne. Ponieważ artykuł ten jest przeznaczony dla ŻYCIA, nawiązuję go również częściowo do artykułu A. Doboszyńskiego p. t. „Bronie Anglików“ (ŻYCIE, Nr. 10 z dn. 4.III. r.b.), którego jeden wywód zupełnie podziwiam. P. Doboszyński mianowicie powiedział: „...powinniśmy wyteńczyć wszystkie siły, by dać Narodowi polskiemu kierownictwo niezależne od jakichkolwiek czynników zagranicznych”. Wydaje mi się, że ten postulat nie napotka sprzeciwu ze strony żadnego obozu prawdziwie patriotycznego, gdyż jest on tylko godny wielkiej przysięgi politycznej Polski oraz wielkich osiągnięć kultury polskiej. Pozostaje jednak najważniejsze: jakimi sposobami dałoby się ten postulat realizować?

P. Doboszyński w wymienionym artykule dał następującą odpowiedź na to pytanie: „Rząd polski (na uchodźstwie) wolny od wpływów obcych i kierujący się wyłącznie interesem narodowym polskim, zacząłby rychno budzić w Anglikach pewien szacunek, który rósłby w miarę prowadzenia przez Polaków polityki rzeczywistej niezależnej. W silnej i mądrej kierowanej Polsce, włączony w organizację „Miedzymorza“, mogą Anglicy znaleźć przeciwwagę w układzie sił Europy, zapewniającą im bezpieczeństwo od strony kontynentu“. Z tego wynika, że niezależna polityka Polski powinna opierać się o kompleks narodów „Miedzymorza“, przez co dałoby się zacieśnić współpracę z Anglikami. Nie wiem, czy taki jest rzeczywisty pogląd p. Doboszyńskiego, ale wydaje mi się, że jeśli tak, to jest on zarówno zbyt ogólnikowy jak i niewystarczający, a z drugiej strony zawiera pewną sprzeczność i niejasność.

Sprzeczność tę i niejasność upatruję w tym, że z jednej strony odnosi się wrażenie, że politykę p. Doboszyński zaleca rządowi R.P., czyli że mówi o dobie obecnej, a z drugiej strony można go zrozumieć w ten sposób, iż mówi on raczej o niejasnej przyszłości, t. j. iż polityka ta powinna być stosowana po odzyskaniu niepodległości („W silnej i mądrej kierowanej Polsce, włączony w organizację „Miedzymorza“). Mówię to nie dlatego, bym chciał doszukiwać się w słowach p. Doboszyńskiego jakichś drobnych nieścisłości, lecz dlatego, że nasza emigracja tylko wtedy należycie spełni swoją misję dziejową, jeśli jej cele i drogi do nich prowadzące zostaną prosto i jasno określone. Ale pomijając ten szczegół w koncepcji p. Doboszyńskiego wydaje się nam, że gdyby miała ona być stosowana w dniu dzisiejszym, to w świetle obecnej sytuacji geo-politycznej nie może ona być uważana za wystarczającą.

W samej rzeczy, wszystkie kraje „Miedzymorza“ są obecnie pod okupacją sowiecką, tak że w takich warunkach mogłoby tu głównie chodzić o współpracę z przedstawicielami tych krajów na emigracji. Wydaje mi się wątpliwe, by za pomocą podobnej współpracy udało się nam realizować politykę „rzeczywiście niezależną od czynników zagranicznych“. Co więcej, skłonni jesteśmy nawet przypuszczać, że koncepcja „Miedzymorza“ jest raczej wizją przyszłości, jedną z tych ewentualnych możliwości, za których pomocą

(W poszukiwaniu koncepcji dla polityki zagranicznej)

będziemy mogli zabezpieczyć nasze żywotne prawa i interesy po odzyskaniu niepodległości, t. j. po zakończeniu wojny Zachodu z Rosją. Przecież nie wiemy, czy i kiedy ta wojna wybuchnie (jestem osobiście zdania, że ta wojna jest nieunikniona), jak również nie wiemy, w jaki sposób ta wojna zostanie zakończona. Ale o tym ostatnim punkcie będziemy mówić nieco obszerniej dalej.

Po drugie zupełnie niezrozumiałe jest, dlaczego p. Doboszyński pomija zupełnie milczeniem Stany Zjednoczone — główny czynnik polityki światowej poza Rosją. Nikt, jak mi się zdaje, nie będzie dyskutował konieczności, i to w stopniu jeszcze większym, niż z Anglią, zacieśnienia współpracy z Ameryką.

Ale, moim zdaniem, najistotniejszym punktem koncepcji Doboszyńskiego jest to, że pominał on właśnie te czynniki, z których pomocą można najłatwiej realizować politykę rzeczywistej niezależnej. Mam na względzie możliwość zacieśnienia współpracy z wszystkimi krajami mającymi wspólną granicę z Rosją (z którymi wobec tego nasze interesy

są ściśle związane), a które zachowały swoją niezależność polityczną. Patrząc na mapę widzimy, że w Europie takimi krajami są Grecja i Finlandia, w Azji zaś Turcja, Iran i Afganistan. Zacieśnienie współpracy z tymi krajami mogłoby być dokonane za pomocą dwóch głównych sposobów:

1) Należałoby utrzymywać kontakt z tymi krajami za pośrednictwem wykwalifikowanych fachowców t. j. osób orientujących się dobrze w miejscowych stosunkach, a w pierwszym rzędzie władających dobrze językami miejscowymi;

2) Należałoby dążyć do podniesienia stopnia gospodarczego oraz kulturalnego również jak i potencjału militarnego tych krajów przez zasilanie ich naszymi fachowcami technicznymi i wojskowymi. Działając zgodnie z tymi wytycznymi, udało by się nam z jednej strony wykorzystać jak najlepiej siły naszej emigracji, a z drugiej strony powiększyć nasze wpływy w tych krajach, a co zatem idzie — osiągnąć cel, nakreślony przez p. Doboszyńskiego: „stać się pełnowartościowym partnerem

dla Brytyjczyków (do tego dodam: i Amerykanów) dla interesów i polityki“.

Występując z tym projektem rozszerzenia koncepcji p. Doboszyńskiego muszę z punktu zaznaczyć, że nie jest on niestety w żadnym stopniu moim własnym wynalazkiem, lecz tylko skromnym naśladowaniem polityki t. zw. „wschodniej“ księcia Adama Czartoryskiego, której słusność i dalekowzroczność została potwierdzona przez wybuch wojny krymskiej. Pozatym ten projekt nie wyczerpuje bynajmniej całości zagadnienia naszej polityki zagranicznej na Wschodzie w dobie obecnej, lecz stanowi tylko jej początek, a ściślej mówiąc program minimalny, gdyż program maksymalny miałby na celu rozszerzenie współpracy ze wszystkimi krajami azjatyckimi, w których odczuwają się wpływy komunizmu. Ekspansja Rosji w Azji jest dla nas tak samo niebezpieczna, jak jej ekspansja w Europie, ponieważ Rosja jest jedna, i wzmocnienie jej potencjału na wschodzie automatycznie powiększa jej presję na Polskę. (Por. R. Wraga: „Świeckie

republiki środkowo-azjatyckie“) Rzym 1946).

Oprócz tego wszystkiego tragiczne doświadczenie historyczne oraz obawa przed przyszłością, która jest w ręku Boskim, a Pan Bóg dopomaga tym, którzy sami sobie umieją radzić, nakazuje nam nie ograniczać naszej polityki zagranicznej do orientacji wyłącznie zachodniej. Podnosząc ten argument, wcale nie mam zamiaru atakować Zachodu jako takiego, lecz pragnę tylko przypomnieć, że nasze ustawiczne stawianie na Zachód zawsze dotychczas, od połowy 18-go stulecia aż po lipiec 1945 r., spełzało na niczem. Nastąpiło to nie dlatego, tak sądzę, by Zachód był „gorszy“ od Wschodu, który, jak przypominałem w poprzednim artykule, był się o naszą niepodległość nawet wtedy, kiedy pozostawaliśmy bezczynni, lecz tylko dlatego, że nasz sojusz z Zachodem przeciw Rosji był i pozostaje nadal, jak długo obecna sytuacja geo-polityczna naszego Kraju nie ulegnie gruntownej zmianie, natury konjunkturnej... Byłoby moim zdaniem niezgodne z prawdą historyczną oskarżać Zachód o brak dobrej woli wobec nas; uważam, że prawie we wszystkich decydujących momentach naszej walki o niepodległość przeciw Rosji, Zachód chciał przyjsię nam z pomocą, i tylko brak wspólnej granicy mocarstw zachodnich z Rosją, oraz układ sił w Europie nie pozwoliły mu udzielić nam pomocy w takiej mierze, która by mogła zabezpieczyć nasze żywotne prawa wobec naszego sąsiada wschodniego. I nie było też dziełem przypadku, że poparcie to odbywało się najczęściej za pomocą Turcji.

Obawy zaś przed przyszłością (i to nawet w wypadku dla nas najbardziej dogodnym — w wypadku konfliktu zbrojnego amerykańsko-rosyjskiego) b. słusznym moim zdaniem sprzecywał w zeszłym roku p. Borelowski w swym artykule p. t. „Złowieszcze dysproporcje“. (Por. „Za Wolność i Niepodległość“, z dn. 28.2.48 r.) Podkreślił on m. in., że „licząc na łaskę nieba i szlachetność naszych sprzymierzeńców możemy po raz drugi zaprzepaścić najistotniejsze interesy naszej niepodległości i trwałego bezpieczeństwa“. Na drodze do realizacji tych postulatów widzi on następujące trudności, których nie rozwiąże ten przyszły konflikt amerykańsko-rosyjski: dynamikę narodu rosyjskiego oraz działalność rozmaitych emigracji rosyjskich, która sprowadza się do jednego wspólnego celu: „do przetworzenia Rosji na państwo szczerze demokratyczne z utrzymaniem na Wschodzie granicy Ribentrop-Mołotow“.

Trudno nie zgodzić się, jak mi się zdaje, z tym poglądem p. Borelowskiego, lecz uważam, że w świetle naszego doświadczenia historycznego powinien on być rozszerzony. Przytaczając dalej kilka przykładów, nie wyczerpuję z pewnością całego zagadnienia.

Konflikt z Rosją pociągnie za sobą automatycznie próbę scalenia Niemiec, czego następstwem będzie dążenie Francji (a być może i Włoch) do znalezienia w Rosji tradycyjnego sprzymierzeńca dla osiągnięcia równowagi sił w Europie.

Rywalizacja Pakistanu i Indyi sprzyja w pierwszym z tych krajów prądom pro-rosyjskim.

Świat arabski pozatym, dość skutecznie zwalczający komunizm wewnątrz, gotów jest kocietować Rosję dla znalezienia przeciwwagi wpływów mocarstw anglo-saskich. Można przypuszczać, że po zakoczeniu 3-iej wojny światowej Arabowie będą dążyć do ocalenia Rosji w celu znalezienia w niej oparcia przeciw wrażliwym wpływom Ameryki i Anglii.

Rekapitulując to wszystko, co powiedziałem wyżej, uważam, że ponieważ nie Rosja, lecz Polska jest położona między Wschodem a Zachodem, musimy orientować naszą politykę nie tylko na Europie, lecz i na Azji. Uważam, że jak długo ta sytuacja geo-polityczna nie ulegnie zmianie, odpowiedź końcowa na pytanie: „Z Zachodem czy ze Wschodem?“ nie powinna mieć miejsca w naszej ideologii politycznej.

JÓZEF JASNOWSKI

## ZAPOŻYCZENIA Z LITERATURY POLSKIEJ

**N**IE WIELU jest autorów, nawet pośród najznakomitszych, którzy by byli obdarzeni stałą inwencją (wynalazczością) literacką, t. j. umiejętnością tworzenia fabuły dla swych utworów. Klasycznym przykładem braku oryginalności w tym zakresie jest Shakespeare; motywy większości jego sztuk są albo wzięte od innych autorów albo też wprost z kronik angielskich czy szkockich. Zdolnością tworzenia oryginalnych i niezwykłych wątków powieściowych czy scenicznych są natomiast obdarzeni autorzy, o których pisze się w historii literatury bardzo mało i to najczęściej drobnym drukiem. Brak talentu wynagradza im natura bujną i niezwykle płodną wyobraźnią.

To też zapożyczenia motywów czy postaci są w literaturze zjawiskiem bardzo powszechnym i stanowią ciekawy temat dla krytyków. Występują one w zasadzie w podwójnej postaci: podświadomej i świadomej. Zapożyczenie podświadome ma miejsce wówczas, jeśli autor przeczytał lub zasłyszal jakiś utwór i zapomniał go — ale tylko pozornie, bo treść jego i motywy utkwily mu w t.zw. pamięci utajonej (kryptomnezja) i wystąpiły mimowoli przy pisaniu czy opracowywaniu schematu własnego utworu.

Tego rodzaju zapożyczenie zdarzyło się, pono, jednemu z naszych (przedwojennych) „akademików“ literatury, Waclawowi Sieroszewskiemu, który pod koniec swego długiego żywota napisał i (co gorsze) wydał tom bajek. Krytyka dobrała się do nich niezwłocznie, wykazując grube „zapożyczenia“ od braci Grimmów, Kryłowa i innych. Niefortunny bajkopisarz tłumaczył się wówczas, że to... pamięć utajona, bo on rzeczywiście wiele z tych bajeczek słyszał gdy był chłopięciem, z ust swej niani starszki, na której kolanach godzinami wysiadywał w jej opowieści zasłuchany. Jeśli kto tu zawinął, to chyba owa niania!

Nie uwierzono jednak pisarzowi; znaleźli się nawet tacy złośliwcy, co i dawniejsze zapożyczenie... od Sven Hedina wypominali, godząc w oryginalność nie tylko owych bajek ale niektórych powieści naszego akademika. Spór był długi i przewlekły a

sens moralny z niego taki, żeby na stare lata bajek nie pisywać, a jeśli już — to tylko te, które się słyszało od... młodej niani. Są przynajmniej oryginalne.

Ale wracajmy ad rem. Druga postać zapożyczenia — świadoma, ma wówczas miejsce, jeśli autor przerabia lub tłumaczy czyjs utwór i wyda się go pod swoim nazwiskiem. Nazywa się to wówczas plagiatem i taki proceder literacki w dzisiejszych czasach podpada pod przepisy kodeksu karnego.

Tego rodzaju zapożyczenie zdarzyło się innemu „akademikowi“ naszej literatury, Wincentemu Rzymowskiemu, który tyle „przyswoił“ sobie od jednego ze współczesnych pisarzy angielskich B. Russell'a i wydał to jako własne myśli, że nawet sama Akademia uznała to za przesadę i wyświęciła niefortunnego literata ze swego grona. Polska publiczność czytająca, nie była jednak z tych zapożyczeń zbyt dumna. Gorszono się i mówiono, że choć ta akademia taka młoda a akademicy tacy starzy — zaszczytu nam w świecie nie przyniosą tym „zapożyczeniem“ i że coś podobnego „nie wydarzyłoby się napewno w Anglii“.

Czy rzeczywiście?

2

Pierwszym utworem który został „zapożyczony“ z literatury polskiej do piśmiennictwa angielskiego była „Nieboska Komedia“ Z. Krasieńskiego. Dokonał go nie jakiś drobny pismak, ale... sam vice-król Indii, Lord Edward Robert Bulwer Lytton (1831-1891), dyplomata, polityk i poeta angielski (nie mieszać z jego ojcem, autorem znanej powieści „Ostatnie dni Pompei“)

Lytton nie był poetą wielkiej miary, ale na Parnas piął się uparcie i literaturze był wierny do końca życia (zmarł na stanowisku ambasadora angielskiego w Paryżu). Przez szereg lat interesowała go, jako problem literacki, rewolucja francuska. Napisał nawet jakiś utwór na ten temat, ale rozwiązanie, znalezione w nim, nie zadawało go, więc się nie śpieszył z wydaniem.

Pewnego razu wpadł mu do rąk tom wydawnictwa „Revue de Deux Mondes“, w którym był przekład francuski „Nieboskiej Komedi“.

tęgo utworu wywarła na nim tak wielkie wrażenie, że zniszczył to, co przedtem na temat rewolucji francuskiej napisał i przetłumaczywszy go (wierszem), wydał jako własny, (w Stanach Zjednoczonych) pod tyt.: „Orval or the Fool of Time“ (ok. 1865).

Tłumaczenie to tylko nieznacznie odbiega od oryginału polskiego utworu, dokonawszy drobnych zmian w akcji początkowych scen oraz pozmienił całkowicie imiona postaci dramatu, zachowując w całości jego treść, myśli autora i owo charakterystyczne zakończenie z „Galileae vicisti“!

Pierwsze wydanie „Orvala“ nasunęło Lyttonowi refleksje iż, mimo że ten polski autor jest tak mało znany, może się znaleźć ktoś, kto doszuka się podobieństwa z „Un-divine comedy“ i wytknie mu plagiat. Aby temu zapobiec, wyjaśnił we wstępie do nowego, londyńskiego wydania „Orvala“ (wyszło wr. 1869), skąd się wzięła idea tego utworu i zalecił, iż dzieciom naiwnością, przetłumaczenie Nieboskiej Komedi na język angielski. Swego „Orvala“ uważał w dalszym ciągu za utwór oryginalny.

W podobny sposób udostępniona została angielskiej publiczności powieść Zygmunta Miłkowskiego (T.T. Jeź): „Uskoki“. Przetłumaczono ją (około 1880) na język francuski i wydano pod niezdarnym tytułem „Les uscoques“. W tłumaczeniu francuskim dostała się do rąk niejakiego T. Louis Oxley, który przebywał w Lozannie, prawdopodobnie jako korespondent któregoś z pism angielskich i interesował się specjalnie Europą środkowo-wschodnią. W r. 1880 przełożył on na język angielski rozprawkę Kaliksta Wolskiego o odrodzeniu Rumunii a rok przedtem komedię Mieczysława Kamińskiego („The Wager“). Opublikował również kilka artykułów dotyczących położeń politycznego w Europie środkowo-wschodniej, a w szczególności na Bałkanach. Z tego też względu „Uskoki“, jako osnute na tle ich dzieł, zainteresowały go specjalnie i tak bardzo, że postanowił je przetłumaczyć na język angielski. W toku tłumaczenia poniosła go ambicja autorska tak dalece, że zdecydował

Dokończenie na str. 6

Aleksander Korsak

JAN TOKARSKI

# MARIA WRACA DO ANGLII



Przed Slipper Chapel

Fot. A. G. Baworowski

**N**ASZ autobus ma numer 17. Jest nas trzydzieści dwoje wraz z „kierownikiem grupy“.

Dzień się jeszcze nie zaczął, ale nim dojdziemy „na Devon“ — przy Misji zbierają się wszystkie autobusy z pielgrzymami z „całego Londynu“ — wiemy już, że pogoda dopisze. To bardzo ważne. Podnosi mnie też na duchu, że nie jeszcze dotąd nie nastąpiło w oznaczonym terminie. Najpierw spóźniły się autobusy. Szoferzy, Anglicy, jak wiadomo nie znają Londynu. Potem zajechaliśmy gdzie nie trzeba, wreszcie po błogosławieństwie N. Sakramentem w Kościele Polskim, wyjazd do Walsingham z opóźnieniem. — Kiedy wszystko dzieje się według z góry oznaczonego planu, co do minuty, człowieka ogarnia jakieś poniżające oniesmielenie. Czuję się wtedy jak rzecz, jak przedmiot, którym ktoś dowolnie manewruje. Wprawdzie św. Tomasz poucza, że celem mędrca jest wprowadzanie ładu: sapientis est ordinare. Ale po pierwsze: nie jesteśmy mędrkami, lecz bardzo przeciętnymi pielgrzymami. A po drugie: jesteśmy Polakami. A to stwierdzenie jest tylko silniejszą formą wyznania, że nie jesteśmy filozofami. Dopiero nieporządek zaczyna nam czynić rzeczy ludzkimi, odejmuje im ostrą sztywność, wyłania bliskie, znajome kontury. Dlatego to Polacy nie będąc militarystami uwielbiają wojsko: wspaniałe przedsiębiorstwo gigantycznego marnowania czasu.

Londyn goni nas szeregami bliż-

niaczych domów ze śmiesznymi ogródkami, sadzonymi na cemente.

Z tej powtarzalności, z tej niemal tożsamości ulic Londynu, która przybysza z razu irytuje a potem śmieje, bije wreszcie jakiś serdeczny rytm, a nawet wyraziła melodia. Jest to jakby temat allegra symfonicznego, odbierany przez coraz to inne grupy instrumentów, który twórca pragnie wbić w pamięć, aby słuchacz nie uronił potem najdrobniejszych motywów w przetworzeniu.

Zaczynają jak w „Niedokończonych“ wiolonczelach Redcliffe Gardens, a przejmują rude fagoty Putney. Potem odzywają się altówki w W 8 z pierwszymi i drugimi skrzypcami Notting Hill, oto już brzmią klarauty SW 3, od nich odbiera temat — w largo — rożek angielski Killburn, który go przekazuje kontrabasom Battersea i tajemniczym waltorniom Islington. Następuje cołetta okolic Souh Kessington, da capo al segno i — climax: tutti całego Londynu...

Konstanty Michalski mówiąc kiedyś w Metafizyce o różnicy między aniołami i ludźmi, ujął bardzo lapidarnie naukę tomistyczną. Ponieważ ludzie są powielanymi, w nieskończoność powtarzającymi się egzemplarzami tego samego gatunku, nudzą się kiedy przebywają ze sobą. Aniołowie zaś nie nudzą się nigdy, gdyż każdy z nich sam jeden wyczerpuje gatunek. „Co anioł — to oryginał“ konkluduje znakomity filozof. Otóż Londyn niewątpliwie nie

jest anielski. Jest natomiast bardzo ludzki. Jego ulice nudzą się i ziewają w swym towarzystwie. Kiedy odkryje się niesfałszowaną ludzkość „tego psiego Londynu“ — jak go nazywał złośliwy Szopen, człowiek przywiązuje się do tego zlepku kilkudziesię-



Młodzież akademicka

Foto Dolins

ciu miast: Gotów jest wierzyć londyńczykom, „że nie ma miasta nad Londyn“. Jego cierpliwa monotonia leczy nas z pychy. Wynosimy się jedni nad drugich, a jesteśmy przecie wszyscy — tacy sami. Tacy banalni. Nasze olniewające przemyslenia są jak owe drzewka w ogródkach przy niezliczonych Roadach, Gardensach, Squarach Londynu: korzeniami szorują po cementowym daszku, pod którym są ciemne, nawilgłe grzybem piwnice, a obok stoją puszki ze śmieciami...

Nagle urwaliśmy się Londynowi. Wpadł na jakąś łakę w prawo, zginął w parku na lewo. Nad nami jest słońce, świeże i jeszcze liliowe, zieleni jest chłodna, drzewa rosną z ziemi a nie z betonu. Droga raz po raz chowa nas przed bukami i dębami w kolorowe wsi i miasteczka.

— Do dziewiątej wolno drzemać, potem zbiorowy różaniec i pieśni maryjne, ogłasza kierownik naszej grupy.

Po tej zapowiedzi (widocznie jako środek nasenny) każdy pielgrzym otrzymuje ŻYCIE, (daremnie się wzbrania...) „Gazetę Niedzielną“, „Sodalisa“ i broszurę pielgrzymkową, wydaną przez Komitet. Jest w niej program pielgrzymki, tekst ślubowania akademików z 1936 roku, modlitwa o panowanie Chrystusa nad

rolę Coeli Portae, Bramy Niebieskiej. Kto przez Nią nie wchodzi, nie dojdzie.

Piękny jest kraj, przez który jedziemy, zielone „wiano Marii“, Mary's Dowry. Ten dobry lud, który kochał Marię i od wieków cenil bogactwa i znaczenie, nie mógł przeboleć, że Królowa nieba i ziemi była najuboższą z Panien świata, nie wniosła nic Mężowi Swemu. Więc podarował jej całą Anglię jako wiano, aby nie musiała się wstydić swego ziemskiego ongiś ubóstwa. Potem złe losy odebrały Marię Anglii, ale zapis nie został obalony. Nawet ten, który pozbawił ją najcenniejszego klejnotu w tym zapisie, Henryk VIII, i skazał na wygnanie, umierając, polecał Jej siebie w testamentcie... Maria wiano przyjęła i dziś upomina się o nie: „Kiedy Maria wróci do Walsingham, Anglia wróci do Marii...“ Wszyscy wielcy święci XIX wieku — Jan Bosco, Jan Vianney, Teresa z Lisieux — mieli w swych sercach i myślach specjalne miejsce dla Anglii, widzieli ją znów oddaną Zwiastowaniu.

Dorodny jest kraj, który teraz oglądamy. Godne wiano. Lecz w jego krajobrazie ranią oko niezliczone blizny: wyrwane i zniszczone znaki Tego, którego Zwiastowanie było czczone tak serdecznie w Walsingham, Kiedyś przy samej drodze przez hrabstwo Norfolk stało dziesiątki krzyżów i figur. Jeszcze w XIX wieku wykopano ukryte w ziemi podsta wy stu krzyży.

Lecz znów drogi angielskie oswajają się ze Znakiem, „który inny nie będzie dany“: ze wszystkich głównych arterii Wyspy idą, setki mil, piesze pielgrzymki, a pielgrzymi noszą drewniane, ciężkie krzyże na ramionach. Już jest ich kilkanaście. Stoją wkopane w ziemię wokół nowej, drewnianej kaplicy w Walsingham.

Zdumiewa prosta symbolika zdarzeń, towarzyszących powracającej Marii. Przed 9 wiekami kultowi w Walsingham dała początek drewniana kapliczka Lady Richeldis. I dziś skromna, drewniana szopka, otwarta na 3 strony, skupia coraz więcej sere proszących o Wielki Powrót. Z całej świetności dawnego angielskiego Nazaret została ubożuchna choć piękna kapliczka — Slipper Chapel. W ciągu wieków przechodziła różne koleje. Była mieszkaniem ludzi, szpitalem, graciarnią, stodołą. Ale była też chlewek i stajenką... Aby niczego nie brakowało ze znaków, które towarzyszą narodzinom Boga i które były otoczeniem chwały Jego Matki...

Jan Tokarski

(Dokończenie nastąpi)



Fot. A. G. Baworowski

Młodzież dwu żeńskich gimnazjów



Fot. A. G. Baworowski

Męska młodzież gimnazjalna

BEATA OBERTYŃSKA

DOKOŃCZENIE

## STOROŻKA



Rys. L. P.

**C**ZASEM dla odmiany robiło się tu biało i ciasno, od schnącej na sznurkach bielizny. Idąc ku drzwiom któregoś z pokoiów, trzeba się było wtedy schylać rytmicznie raz, drugi, trzeci i czwarty, a i tak — nieraz i nie dwa — dostało się klapsa w twarz od takiego rozpanoszonego szeroko prześcieradła czy obrusa. Tupot kroków po deskach miał wtedy całkiem inny odgłos, niż zwykle. Głuchy, zasobny bielizniany...

Zapach strychu zmienił się razem z pogodą. W upał pachniało tu andrutami. W deszcz czuć było komin i stary kurz. Był tylko środek strychu — ten na szerokość obu pokoiów — miał podłogę z desek. Tamte cztery, niskim już dachem ukośnie ścięte kieszenie miały dno mialkie od grubej warstwy jedwabistego pyłu.

W kieszeniu te zapuszczaliśmy się rzadko. Nie było tam nic ciekawego. Ot — jakieś stare graty, kulawe meble, puste ramy, kilka pak. Pamiętam tylko, że starzał się tam też po ciemku mój pierwszy pojazd w życiu — dziękcinny wózek z błękitną budką. Zamiatł mnie leżało w nim teraz stare rupiecie: przerdzewiała tortownica, zbita lampa, popsuty, — do olbrzymiego, zdechłego nietoperza podobny — parasol, jakieś wióry czy klaki wplątane w pogięty sztelarz zakurzonego abażuru, jak to na strychu. Nigdy właściwie nie przetrząsnęliśmy do dna tych bocznych zakamarków. Może dlatego zresztą, że było zawsze trochę straszno, bo ciemno.

Czasem tylko — w pogodę — kiedy błękitna od kurzu klinga słońca przelała się skosem szparą w gontach, odbłask przywołanego nią do ziemi krążka, umiał nikło podświetlić belki. I wtedy można się było nim pobawić. Stulało się obie dłonie w ciasną mieszczkę i czerpało blask jak wodę. Prześwietlone palce robiły się rubinowe, a od rozprysku podniesionego z kurzu słońca jeszcze jaśniej stawało się po kątach. Pozatym było tam zawsze ciemno.

Storożka była akustyczna jak drewniane pudełko. Cały dom musiał wiedzieć że ktoś biegnie po schodach. We wszystkich pokojach aż dudnło. Ale to było zwykłe, samowite dudnienie. Bo był jeszcze inny tupot, który się czasem głoślił po domu, drobny, puszysty, jak myśl płochliwy i zawsze trochę tajemniczy.

Nazywało się to koszatki. Czym było naprawdę, nie wiem. Parę tylko razy w życiu mignęło mi przed oczyma coś jakby małeńka jak pajęczyna szara, domowa wiewiórka, o puszystej kicie ogona i o futrzanych niskich w kroku majtach. Tupoty ich przebiegały po domu, jak jedwabiste dre-

szczyki i nigdy właściwie nie można było określić skąd, z za ściany, znad głowy, czy spod podłogi.

Owe długie, uporczywe słoty w górach, nie dawały się nam prawie we znaki, chyba tem, że nas okradaly z kąpielii w rzece. Zato deszczówka do mycia była teraz mniej złota i nie ziała drzewną stęchlizną klepek. Pełne, rozdzwonione kadzie, aż się przelewały przez brzegi. Nie trzeba było stawać na palcach by dosięgnąć wody. Od obu kadzi — zwłaszcza „kuchnia” — pędziła nas, jednak nieuleczalnie. Jakże nam było tłómaczyć, że nie zawsze chodziło o rzucanie w nie zwiru, czy o siekanie wody patykami, i nawet nie o to krótkie, nawilgłe echo po wkrzyknętych w nie zawołaniu...

Kadź, zwłaszcza kiedy była pół-pusta, miała dla mnie jakiś z niczym nie porównany, smutny urok. Nieruchoma, ciasno zamknięta woda, biorąca w siebie mroczne odbicie słonecznego nieba nad sobą, te — w czarnym szklawie żałobnie bielejące — obłoki i — ja — ta druga, inna ja — wpadnięta odbiciem w słoneczną czerń na opak widzianego świata — to było tak osobliwe, że mogłabym była, pachami zahaczona o krawędź, wisieć tak godzinami. Zachwycająca, ponura radość mokła mi martwo w tej kadzi. Jakże wyraźnie pamiętam to uczucie! W dalekim, podświadomym skojarzeniu wstaje ono we mnie zawsze, żywe i to samo — kiedy słyszę „Elegię” Massenet’a, Słoneczny świat widziany jak przez czarną krepe... To moja kadź i „Elegia”.

A kiedy wreszcie przebite słońcem mgły rozpełzły się sprzed Storożki, kiedy Opór zaczął zrzucać burą łuskę mętnego prądu, a lasy dymić — znać było to, że będzie pogoda.

A razem z pogodą — grzyby! Świat cały pachniał grzybami! Wyczuwało się prawie skórą, jak — rosną — prują się z wilgotnego mchu, białawe z początku i zwarte, całe zalepione igłami — jak potem rumienią się brunatno do światła i powietrza i jak im korzeń napucha głuchą gąbczastym miąższem. Ach! Te niezapomniane, cudowne grzyby mego dzieciństwa!

Jeden tylko prawdziwiek liczył się za grzyb. I tylko znalezienie prawdziwka umiało wypełnić człowieka radością, która poszła za nim nawet w dorosłe sny. Kozar, maślak czy gołąbek — to nie było właściwie nic. Jeszcze rydze umiały cieszyć, rydze o pomarańczowej, pachnącej krwi i o czapce całej w zielonawe słoje.

Tak na zbieranie jagód jak grzybów w gminnym lesie musiało się mieć pozwolenie od leśniczego.

go Bandurowicza. Leśniczówka stała na wysokiej polanie nad Wilczym Potokiem, mała co większa od stojącego obok stogu i zawsze obłudnie rozszechkana psem. U Bandurowicza brało się także codziennie świeże mleko, a chłopiec, który je przynosił, zabierał, wracając, pomyje dla świni.

Wzdłuż stajni, obok cienistej kałabanii, mimo czarnej kępy olch nad wrzosowistym wądołem i aż do mostku na strumyku — szło się do lasu pod górę. Potem dopiero skręcało się w poziomą już aleję młodych lip, na samym skraju ogrodu. Chłodno było tu zawsze, nawet w największe upały. Chłodno od cienia i zapachu lip. Bo lipy w górach kwitną późno i długo — i długo jeszcze, nawet po przekwitnięciu, zostaje im w liściach wonność słodka i rześwa jak woda.

A potem była bramka, a za bramką droga, a za drogą las. Granatowa ściana starych świerków, od których szedł jednostajny, puszysty, wieczysty syk. I raptem — robiła się strasznie poważnie i jakby całkiem „kiedyśindziej”. Niby „teraz” a właściwie „zawsze”. Nie wiem jak to powiedzieć? Było swojsko a niesamowicie. Znajomo — a obco, i był zachwyt, który był trochę smutkiem i lęk, który był prawie szczęściem... Przepływało po dziecinnie bezzadnej nierozumiejącej samej siebie wrażliwości — i gasło. Zostawały zwyczajnie



Rys. L. P.

już rozszechane świerki, jakaś daleka, niepowrotna, żywica płynąca godzina i to „że się idzie na grzyby”.

Zdarzało się jednak często, że grzyby te same przychodziły do nas. Nie dosłownie — ale prawie. — Przynosiły je na sprzedaż baby z polonin. Smagłe, mokre, boscie baby, w zgrzebnych koszulach, baranich serdakach i wysoko podkasanych, czarnych, biało kropkowanych spodnicach. Witało je oszalałe szczekanie Asana, który wypadał zza swoich drzwi, nieublaganie niechętny wszystkiemu co obce. Siłą za drzwi zapędzony umiał długo jeszcze ziać rwanym, podnieconym oddechem. Smok natomiast szedł na przeciw bab zwaliście przyjacielskim kołysiem, ani czując, że jego milczący ogrom budził większe przerażenie od rozchrypałej wściekłości Asana.

Baby te zwykle chodziły po dwie. I były wszystkie takie same. Na głowie miały czarne, frendzlaste chustki — płytka, jak żółędziowa miseczka, związane na ciemieniu. Miały masne, i w ciasne gruzły za uszami szmatkami podwiązane warkocze, na szyi często korale, czy mętne nieszlifowane bursztyny. Rosło to na nich jakby samo z siebie, niczem jagody na kalinie, czy żywica na jodle. Pamiętam dobrze ich boscie nogi oblepione igliwmi i zmokłym puchem kwitnącej po zrębach kipszyny, nogi drobne, brunatne, i świeżo podrapane w ożynach. Od bab tych buchał zapach serdaka, malin i lasu, podpiłnięty wyraźnie kwasem zgrzebnego płótna i

Zależnie od przetaczających się po zrębach tygodni, baby nosiły poziomki, maliny, czernice. Ożyny jawiły się dopiero pod sam koniec wakacji, tak samo zresztą jak kwaśne, i w ziemi dopiero ważne, gogodne.

Ale grzyby i jaja były przez całe lato. Pamiętam mokrajowi z czterech węzłów rozdlubowaną chustką i ujawnioną nagle olśnionym oczom osypisko niemowlecko pękających, nagich, ciasno zatulonych prawdziweczków! Te brało się na marynatę. Większe o dobrze już pociemniałych czapkach i lekko złotawej gąbce, szły zaraz do kuchni.

A potem była jeszcze głąb wiklinowego koszyka, syпка od nawilgłej sieczki i te — wprawnym ruchem, po trzy naraz każdą ręką — wygrzebywane z niej jaja. Liczone kilkoma parami oczu i zawsze do sześćdziesiąciu brzęczały przejrzystą skorupką, kładzione ostrożnie — i zawsze po trzy — do starej bezuchej wazy.

W okresie smażenia soków, brało się przede wszystkim maliny. Ile się dało i ile ich baby naniósł. Konewki na jagody miały drewniane, związane szmatką lub łopuchem. Nie łatwo było wybić z ich głębi ociekającą sokiem, wonną, malinową miazgę, która jeszcze przez chwilę po wypadnięciu już w misce, zachowywała baryłkowaty kształt konewki. Cały dom pachniał wtedy malinami.

Asan wypadał zza drzwi, kiedy baby były już za bramą. Latał wzdłuż siatki ujadając histerycznie, obserwowany z głupim zaciekawieniem przez zwałonę w trawie ciężkim kuprem Smoka.

W mięsiasty skrawek darni na przeciw kuchennego okna, wbijała się całym ciężarem drabina. Nie wiem dlaczego rosta pod nią trawa zupełnie inna niż wszędzie. Szkliste ciemno zielone pióra, wygniaty się z pośród kamieni, którymi ongiś wybrukowano podjazd. Rosa skrzyła się tu ziarnista, jak nigdzie i tu najdłuższej się trzymała. Może dlatego, że słońce nie docierało na tę północną stronę domu, chyba bardzo już skośne, o zachodzie.

Z drabiną żyliśmy w wielkiej przyjaźni. Nachylenie jej było tak łagodne, że na pierwsze szczeble można było wbiec jak na schody. Dalej dopiero szło się na czworakach. Ostatnie szczeble nad próżnią miało się zawsze ze strachem, który się zmienia w cudowną pewność siebie na tych, pod którymi już czuło się gonty. Drabina coraz cieńsza ku górze i może lekko spaczona, za każdym dalszym szczeblem tłukła głucho o dach, póki z ostatnim, najmocniejszym stuknięciem, nie przekazała nas kominowi.

A komin był ciepły i czuć było dymem. Swojski, wędzony przydech domu i bezpieczeństwa... kiedy — chwyciwszy się mocno szczytowych gontów — podciągnąć się było na rękach — nagle — zamiast kostropatej pochyłości dachu tuż przed nosem — świat cały otwierał się przed człowiekiem! Szeroki rozwór skolskiej doliny leżał jak błękitna, okolem roztozona miska. I ta, świetlistość na dno jej rzucona, grzbietem o zakręty ocierająca się rzeka i las — i szafir gór roztopiony, rozemglony pogodą i dalekością! Wszystko to chwytalo się jednym, zawsze na nowo olśnionym spojrzeniem, i zjeżdżało zaraz brzuchem po dachu w ciepłe gniazdo za kominem. I były znów tylko zbliska widziane gonty, tajemnicza czerń jego sadzą od spodu obrośniętej czapy, własne, zazielenione ręce i znajomy deseń sukienki, którą razem ze skulonymi kolanami, miało się wtedy

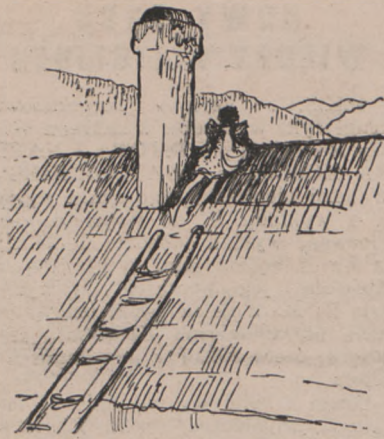
wygodnie za tym kominem, ale było tuż pod brodą. Nie było tam wcale zawsze tak samo — cudownie!

Naprzeciw drabiny i obydwu kadzi, równoległe do długości domu, w bezpiecznym czworoboku agrestowych krzaków leżało kilka warzywnych grządek. Marchew, pietruszka, kalarepa, jakaś słodka rzodkiew czy rzepa — ot tyle, co dla siebie na lato. Prócz jednej grządki różowo kwitnącego maku i złotych rozprysków kopru — wszystko tu było niskie i przysadkowate. Słoneczniki dopiero w sierpniu umiały zwinąć na powietrzu tarczami mrocznych, pełnych szczy-pawek twarzy. Nieprzystępny krzak berberysu stał na straży tego małego, słońcem i koprem pachnącego królestwa, które zawiewało rześwym oddechem jarzyn i zatajona w cieni-stych porzeczkach, przyziemną wilgocią po ostatnim deszczu. Porzeczeki były zawsze zimne i bezwonne. Zato rozgrzane słońcem krzaki różowego agrestu chuchały słodkawą wonią drobnych włochatych i bardzo gęstych owoców. Wystarczyło unieść tylko kolczastą gałązkę, by zsuwać już potem całą garścią te przejrzyste agatowate kulki, jak się zsuwa paciorki ze sznurka. Przejścia między grządkami były długie śliskie i szklące po deszczu. Czekoladowy lukier lgnął nam do bosych nóg ciepłowie i mocno, tak, że przed powrotem do domu trzeba je było plukać w strumyku. Surowy bób nie był wcale dobry, strasznie przyjemnie zato było wydłubywać ze srebrzystej waty, seledynowe ziarno o czarnym, matowym znamieniu. Nie wiem czemu zdawało mi się zawsze, że jest to półksiężyc brudnego od sadzy diabelskiego paznokcia.

Nie była to zresztą jedyna diabelska rzecz w tej okolicy. Tuż za drewnianą stała beczka ze smołą. Niska, czarna i straszna. Smoła zeschnęła się dawno w szklistą bryłę i odstała od klepek i dna, z dachu zaś spływająca deszczówka zalała ją z czasem po brzegi. Skutek był ten, że w czarnej beczce w czarnej wodzie, mokła — niczem czarny kadłub bez głowy — bryła szklistej, diabelskiej smoły. Trącona patykami umiała zadziwiająco łatwo pójść na dno i zaraz potem wrócić. I wtedy wybuchały z pod jej brzucha jakieś małeńkie, białawe żyjątka, które zwiżając się i rozkręcając sprężyste, przewiercały się śpiesznie ku powierzchni. To było tak obrzydliwe, że nie można nas było odegnać od tej beczki: Żeby było jeszcze straszniej nazwaliśmy to sobie „mikroby”.

Do tej północnej strony domu, tułiła się jeszcze ławka, niska i mało używana. Najczęściej przysiadaly na niej owe zaroszone po pas baby z polonin, czasem listonosz, czasem Hryń.

A w późne, letnie wieczory zastawało się tu czasem Babcie. Ale dopiero wieczorem, kiedy granatowe niebo nad wysokim garbem lasu, zasypane już było gwiazdami. Z krytej werandy nie widziało się ich tyle... Tu miało się całe otwarte niebo przed sobą. Bezdenną, nieruchomą otchłań, od której — w sierpniu zwłaszcza — odpadały co chwila gwiazdy. W sieni pod schodami ćwierkał świerszcz... Czasem ropucha ruszyła się pod kładką. Rzeki nie słyszało się tu prawie wcale, bo cały jej szum zgarniała w siebie weranda. Od trawy pod drabiną ział ciępkie ziań, podczas gdy od lasu nachodziły ociągłiwe, dniem jeszcze nagrzane, ży-



Rvs. L. P.

wiczne smugi. Widziało się prawie na powietrzu te wonne, od lasu idące warstwy ciepła i zapachu i zawsze tak samo — do bólu prawie głęboko — wciągało zachłannym oddechem.

Babcia była milcząca i inna niż w dzień. Owinięta czarną peleryną, siedziała bez ruchu, plecami oparta o dom. Pamiętam w tej górskiej, gwieździstej nocy jej bardzo białe i bardzo piękne ręce, zamysłone jakieś i milczące. Tak je wtedy czułam, więc tak je dziś pamiętam: zamysłone i milczące...

Ów cudowny, daleki, nieporównany czas, liczył się nam wtedy nie na godziny — tylko na pociągi.

Pośpieszny na Węgry, osobowy do Lwowa, osobowy do Skolego, towarowy do Stryja, kamieniarka — to były nasze zegary.

Wylatywałyśmy na szkarpy do każdego prawie pociągu. Pośpiesznemu trzeba było policzyć wagony, towarowemu cysterny. A już osobną radością było wypatrzenie na torze drezyny. Pchła taka pędziła po szynach w obłądnym jakby przerażeniu, rozkiwana w tył i naprzód tułowiami dwóch pompujących przestrzeń kolejarzy i rozfurkotana zasmoloną choroągiewką. Jakiś pan siedział w niej na trzeciego i nic nie robił — tylko jechał. Bardzo zazdrościliśmy mu tej jazdy.

Kamieniarka przyjeżdżała zwykle zaraz po obiedzie. Był to specjalny pociąg dla kamieniolomu. Kiedy go z kolejowego nasypu puszczonego w dół na boczny, tuż pod Storożką przebiegający tor — lokomotywa nikła pod wysoką ścianą szkarpu, ale zato cały skraj urwiska kulił się niskimi wybuchami pary która rozrastając się za sobą szeroko, szła piechotą po darni naszego ogrodu. Puszysta, dynna zasłona, wędrująca sama po trawie! Osobliwe, prywatne obłoki, które były nisko i blisko i po których cudownie byłoby chodzić bos! Oślepiając białe zwały waty, po jakiej napewno katulują się w niebie aniołki! — Ale tak było tylko wtedy, kiedy pociąg zjeżdżał w dół i pusty. Wracając pod górę z ładunkiem, stękał i fuczał, złościł się i zaplawał wykaszując z kominia ciemne, gorące powietrze. Las, rzeka i osika przy torze jawiły się nam wtedy, jak przez rozedrganą żalobną żelatynę...

Po rampach przy dalekiej budce budnika poznawaliśmy zawsze, czy dany pociąg wyszedł już z Dębiny. Jeśli sterczały ukośnie, jak dwa białe rogi ślimaka można było jeszcze bezpiecznie wrócić po coś do domu. Kiedy leżały — znaczyło to, że lada chwila zabębni coś pod Kłódką. Pośpieszny słyszało się już długo na przód. Rozłopotany huk pędu stapał się zrazu z szumem rzeki i dwoił echem jaru. Na chwilę dopiero przed ukazaniem się lokomotywy, wybijał się z tego szumu wyraźny rytm pędzących kół. Lśniący potwór wylatywał zza domu Jakóba i rozmachany tłokami, gnał ku mostowi nad gościńcem, potem dalej ku domkowi budnika, malał — nikał na zakręcie — aż radosnym gwizdem oznajmiał górom że dopadł szczęśliwie Skolego. Czasem, kiedy któremu przysiało oco-

ta, rozedrzyć się umiał już tu, przed Storożką przeraźliwością takiego krzyku i puścić po lasach echo faliste i rozlewne, echo błękitniejące razem z oddalą i razem z nią rozplywające się przed oczami. Tak cudownie rozległy robił się świat, najpierw spiętrzony gwizdem a potem echem łagodnie ugłaskany! Pośpieszny bywał zazwyczaj krótki. Pięć, sześć wagonów najwyżej. W oknach stał ludzkie. Obcy. Czyiś. Nie nasi. Nasi wysiadali zawsze w Dębiniu i pociąg przelatujący pod Storożką nie był już ważny właściwie. Obojętny jak wydrążony orzech...

Ranki — południa — wieczory — noce... Znów ranki, znowu południa...

Szły sobie te godziny po człowieku, jak niewidzialnie dobrotliwie muskające go pióra. Płynęły rozmrucane liśćmi brzoza na szkarpie, kotysane kołataniami królewskich dzwonek, rozpiewane podzwiekami kuźni — szumiące wiatrem i rzeką...

...Pamiętam — że kiedy przyszała noc — kryształowa, rozległa noc nad Oporem — kiedy z za lasu wytoczyła się pełnia i szła wysoko po mglicie rozjaśnionym szafirze — rzeka pruća się z takim szumem przez zniecieruchomiałą, zatchniętą ciszą świat — jakby była ze srebra naprawdę. Poświatą opita woda zdawała się cięższa, niż we dnie. Było jej więcej i rozlewała się szerzej, cała od brzegu do brzegu płasko roztopiona w blask...

Tatko z Mamą, owinięci jedną, wielką peleryną rozmawiali sobie cicho po tamtej „dorosłej“ stronie werandy. Po „naszej“, opuszczona przed chwilą huśtawka, skrzypiała jeszcze smutno hakami u powały a z otwartych drzwi jadalni padał na schodki snop światła i tracił się puszyście w krzakach przed werandą...

...Może potem człowieka spotkać w życiu wszystko, co się temu życiu podoba. Można go skrzywdzić, zniweczyć, ograbić do ostatniej radości i koszuli...

Nic mu jednak nie cofnie szczęśliwego dzieciństwa i nic nie odbierze tego — co pamięta...

Najlepiej lubiłam ostatni towarowy pociąg, idący na Węgry, ten, który słyszało się nawet przez sen.

On jechał — a ja leżałam. On był sam, — my w domu byliśmy wszyscy. On sunął czarną nocą po niewidzialnym torze, miał przed sobą jakąś obcą, całonocną, daleką drogę przez śpiący świat — a ja leżałam pod znajomym, własnym kocem, miałam rękę wsuniętą pod własną, znajomą poduszkę i wiedziałam że usnę zanim senne, smutne kołatanie wagonów, przewlecze się pod Storożką — i minie...

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że kiedyś, zanim naprawdę usnę — przemienie też i Storożka...

Beata Obertyńska

HENRYK MIRZWIŃSKI

## ROZSTANIE

Kolumny kominów podpierają niebo widziane przez okno,  
a migotanie gwiazd  
jest jak list od dawnego przyjaciela:  
niepotrzebny i daleki,  
mówiący o osobach, z którymi nas już nie łączy,

Przez drzwi niedomknięte z nadziei  
na czyjeś kroki zapomniane  
kapryśny się wciska pomruk  
życia,  
które przechodzi obok nas  
potrącając  
jak przechodnia na ruchliwej ulicy.

Księżycyca światło — rtęć rozlana  
wędruje po dachach jak nasze myśli  
niewypowiedziane  
a jednak głośniejsze  
niż stuk serca i jazgot kolejki.

Wspomnienia — muchy jesienne  
obsiadły świadomość  
starając się odlecieć tę chwilę,  
gdy zrozumiemy,  
że to już dawno przewidziane  
rozstanie.

### SEWERYN WOJTECKI

## Z M E K S Y K U

**M**EKSYK dzisiejszy od lat dwudziestu paru cieszy się względnie pokojem. Ostatnia rewolucja (1910-28 r.) ucywilizowała się, opierzyła, zatraciła ostre akcenty, żyje w frazeologii, w doraźnych jakichś ekscesach.

Okres ostatniej wojny, sąsiedztwo ze Stanami Zjednoczonymi, jako znakomitą rynkiem zbytu meksykańskich surowców przyczynił się do znacznego wzbogacenia kraju i wielu osiągnięć w dziedzinie ekonomicznej.

Uderza wszędzie ruch budowlany, graniczący z manią. W samej stolicy padają w gruzy dawne domy i dzielnice. Miasto zatraciło charakter starego kolonialnego „ciudad“. Amerykanizuje się. Ten pęd za nowoczesnością jest młodzieńczy, pełen rozpędu, pogoni za biznesem, lekceważący przeszłość.

Napłynęły dolary od sąsiada za nąftę, za skóry, za tłuszcz. Nadto w okresie wojny amerykańscy turyści z konieczności musieli korzystać z tych ponęt, jakie zamiast Francji, Szwajcarii czy Włoch wysunął najbliższy kraj sąsiedni.

A ma on wspaniałe i urozmaicone krajobrazy potężnych masywów górskich, wygasłych wulkanów, starej azteckiej i mayskiej architektury i bądź co bądź wspaniałe pozostałości z okresu hiszpańsko-kolonialnego, jakich napróżno szukasz po konkwistadorach angielskich.

Dodajmy i to, że jakby na zamówienie żadnych nadzwyczajności Yankeśków wybuchnął z żywiołową siłą w 1942 r. najnowszy wulkan świata — Paricutin, koło Uruapan: że przyjemnie pokręcić się w łódkach, przybranych w kwiaty po czarnych, błotnistych kanałach jeziora Xochimilco i przyjąc do wiadomości, że to tak jak w Wenecji: że przyjemnie posłuchać orkiestry barwnych murachów, jakże różnych od wściekłych jazzów.

Dlatego dolary płynęły rzeką do Meksyku. Meksyk się budował, cywilizował, amerykanizował...

Dziś sytuacja się zmieniła. Na rynkach handlowych Meksyku zastój. Pała turystów spieszy podziwiać zrujnowane miasta Europy. Odbiło się to na życiu ekonomicznym. Ukazuje się widmo kryzysu... Chyba, że nowa wojna, gdy rozszałę się nad światem, otworzy znowu rzeki dolarów dla spragnionego Meksyku...

Wybory w 1946 roku wygrał licencjador Miguel Aleman. Miał on ograniczone poparcie rządowe i kredyty na propagandę. W opinii mas zyskiwał również jako przeciwnik Stanów Zjednoczonych w przeciwieństwie do zależnego od nich Padilli. Nadto miał jeszcze i ten plus, że był generałem. Od niepamiętnych bowiem czasów stanowisko prezydenta Meksyku było „militaryzowane“. Fotel prezydencki zasiadał stale jakiś „generał“ rzeczywisty, czy „honoris causa“, — ale generał. Miguel Aleman był również człowiekiem nowym a choć przedstawiał się na afiszach, jako „autentyczny rewolucjonario“ to jednak nie należał do znanych asów rewolucyjnej kamaryli. Stosunkowo młody szybko posunął się w hierarchii państwowej. Ze stanowiska gubernatora stanu Puebla wszedł do rządu w charakterze ministra spraw wewnętrznych. Stąd przy poparciu ustępującego prezydenta Avila Camacho sięgnął po władzę najwyższą i zdobył ją. Od początku położył nacisk na podniesienie ekonomiczne kraju. Wiele jednak sążnistych obietnic, zwłaszcza w zakresie „sanacji“ życia publicznego musiało ulec redukcji. Wywołało to niezadowolone a nawet groźby rewolucji. A że w mętach polityki zawsze można się spotkać z sieciami komunizmu, więc i w nagonce na Alemana w rozszerzaniu ujemnych o nim opinii wyraźnie występował zakonspirowany czynnik komunizmu. Podobno doszło nawet do zamachu, ale wieść o tym nie przedostała się oficjalnie do prasy. Zdaje się jednak, że obecnie wysoka fala wzburzenia już przeszła. Wzajemna wizyta obu prezydentów

### KORRESPONDENCJA WŁASNA ŻYCIA

Revolucja przeprowadziła radykalną reformę rolną, zniszczywszy wszelką większą gospodarke rolną (haciendy), oddawszy ziemię chłopom. I cóż? Dziś widzi się na gruzach wspaniałych niegdyś haciend gromady brudnych, wynędzniałych biedaków, żyjących z dnia na dzień, lub przymierających głodem.

Bруд i nędza, to częste i smutne zjawisko Meksyku.

Dlaczego tak?

Przed wszystkim trzeba brać pod uwagę, że Meksyk to kraj od półtora wieku permanentnej rewolucji. Rewolucja zniszczyła dobrobyt pohiszpański, zniszczyła dobrobyt po trzydziestoletniej, spokojnej dyktaturze Porfirio Diaza. Rewolucje te, wywołane celowo dają w konsekwencjach anarchię, ruinę, odzyczajają od pracy.

Dodać trzeba, że 50 procent mieszkańców Meksyku, żyjących życiem Indian pierwotnych nie nie wytwarza i nie nie konsumuje. Są w Meksyku, obrzymie polacie puszczy, dokąd nie dotrze noga żadnego przedstawiciela władzy, (ginie bez wieści), a bardzo rzadko człowieka cywilizowanego.

Indianin nawet pracujący nie ma żadnych ambicji życiowych. Garsć fasoli i kukurydzy, nieprany łach aż do zdarcia — zupełnie mu wystarcza.

W Meksyku można się spotkać z odmową pracy, dlatego że ona wymaga za dużo czasu. Szkoła polska w Leonie zamówiła swego czasu parę set ramek do obrazów. Ramiarz odmówił. Dlaczego? Gdyby chodziło o dwie, trzy ramki, to jeszcze... A tu tyle! „Mucho trabajo“... Za dużo pracy.

Rzemieślnicy, którzy pracowali w polskim osiedlu, gdy zarobili po parę set pezów, porzucili pracę. Miesiąc mogli nie nie robić i pić pulque. Mucho trabajo... Za dużo pracy! Nie trzeba pracować.

W pewnym majątku, gdzie pracę znalazła garsć naszych Polaków, zawezwano mnie do chorego peona (parobka), poczciwego zresztą człowieka. Znalazłem go w ciemnej lepiance, bez niczego, poza kukurudzą w kącie, leżącego na gołej ziemi w ubraniu. Był chory na zapalenie płuc. Leżał od tygodnia. Człowiek ten pracował lata całe i jak Polacy otrzymywał tygod-

(Ciąg dalszy na str. 7)

Przybyło w Polsce powołań. W roku 1947 było w Polsce 1.441 kleryków w seminariach duchownych wyższych. Z końcem roku 1948 było ich 1.754. Oznacza to dość poważny wzrost powołań: więcej, niż o jedną piątą. Liczba powołań w Polsce jest jednak wciąż zbyt niska, by wypełnić luki, powstałe w szeregach polskiego duchowieństwa w ciągu ubiegłej wojny.

**Pogrzeb księdza-męczennika.** Sześć lat temu polejka japońska w mieście Osaka, jednym z największych miast przemysłowych w Japonii, zatorturowała na śmierć francuskiego misjonarza, księdza Bousquet. Powodem tortur było to, że nie chciał on uznać boskich cech japońskiego cesarza. Został więc umęczony dokładnie z tego samego powodu, co wielu pierwszych chrześcijan, których tysiącami skazywano na śmierć za to, że nie chcieli uznać bóstwa cesarza rzymskiego. Tortury ks. Bousquet były tak straszne, że zanim umarł, popadł w obłąd. Pogrzebano go na cmentarzu więziennym. Obecnie dokonano ekshumacji jego zwłok i sprawiono mu bardzo uroczyste powtórny i chrześcijański pogrzeb. Obrzędy pogrzebowe odprawił biskup-Japończyk, ks. Taguchi.

**Transjordania zezwała na pielgrzymki.** Rząd transjordański oświadczył, że udzieli wszelkich ułatwień zagranicznym pielgrzymkom chrześcijańskim, chcącym się udać do Miejsc Świętych w Palestynie, znajdujących się pod okupacją wojsk transjordańskich. W szczególności, dotyczy to arabskiej części Jerozolimy.

**Przebywa Katolików w Kamerunie.** Na obszarze wikariatu apostołskiego Yaounde we francuskiej części Kamerunu, w Afryce, żyje 700.000 ludności, wśród której jest 250.000 katolików i 55.000 katolickich katechumów. Jest tam 38 księży-Murzynów i 45 murzyńskich zakonnic. W miejscowym seminarium jest 93 murzyńskich kleryków.

**22 katolickich posłów do parlamentu angielskiego.** Major William T. Wells, poseł do izby gmin z okręgu Walsall (członek Labour Party) nawrócił się na katolicyzm. Tym sposobem liczba katolickich członków izby gmin wzrosła do 22.

**W Szwajcarii Kościół dotąd nie cieszy się pełną wolnością.** W Szwajcarii dotąd obowiązuje artykuł 51 konstytucji, zabraniający zakonowi jezuitów osiedlenia się w kraju, oraz zabraniający nawet pojedynczym osobom, o ile są jezuitami, nauczania w Szwajcarii, wygłaszania kazań w kościołach i t. d.

**Lowanium zakłada filię w Kongo.** Słynny katolicki uniwersytet w Lowanium (Louvain) w Belgii zakłada obecnie uczelnie-córkę w Kongo, przeznaczoną dla Murzynów.

**Ojciec De Marchi o misjach afrykańskich.** Rektor seminarium duchownego dla przyszłych misjonarzy Consolata w Fatima w Portugalii, ojciec De Marchi, odbywa teraz podróż po Ameryce. Oświadczył on, że katolików w Afryce jest teraz około 15 milionów, lecz rozpęd ruchu nawrócenia wśród ludności tubylczej afrykańskiej jest duży, że w ciągu 10 lub 12 lat liczba ta może się z łatwością podwoić, lub potroić.

Jedną z największych potrzeb katolickiej Afryki jest potrzeba seminariorów dla kształcenia tubylczego duchowieństwa. Księży tubylczych szybko przybywa, zwłaszcza w Afryce Środkowej i Wschodniej, ale jest ich jeszcze ciągle za mało. Naogół zaczyna się już wytwarzać reguła, że w krajach, w których jest co najmniej 50 księży tubylczych, wyświęca się również i tubylczego biskupa.

Institut Consolata dostarcza misjonarzy do Kenii, Tanganjiki i Mozam-

## WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

biku w Afryce, oraz do Brazylii, Argentyny i Kolumbii w Ameryce.

**Filipiny - schronieniem dla katolików chińskich.** Prezydent Rzeczypospolitej Wyp. Filipińskich, p. Quindino, oświadczył, że wszyscy chińscy klerycy katolicki, którzy przerwali studia z powodu najazdu komunistycznego, mogą przybyć na Filipiny, aby ukończyć studia w seminariach filipińskich. Prezydent Quirino wyraża nadzieję, że będą oni następnie pracować nad nawróceniem na katolicyzm licznej rzeszy Chińczyków, przebywającej na Filipinach, a więc przyczynią się do usunięcia przedziału wyznaniowego między nimi, a narodem filipińskim, który jak wiadomo jest w druzgocącej przewadze katolicki.

**Katolicka francuska Kanada.** Na obszarze archidiecezji Quebec, obejmującym najbardziej francuski zakątek Kanady, żyje 605.500 katolików i tylko 10.800 niekatolików.

**Kościół w Gdańsku.** W roku 1939 żyło na obszarze Wolnego Miasta Gdańska, pokrywającym się z obszarem diecezji gdańskiej, 140.000 katolików i 260.000 niekatolików. Dzisiaj żyje tam 270.000 katolików i 30.000 niekatolików. Parafii było przed wojną 48, dzisiaj jest 56. Księży było przed wojną 89, dzisiaj jest z górą 100. Z nich 18 należy do duchowieństwa przedwojennego. Administratorem apostolskim diecezji gdańskiej jest ks. dr. Wronka.

### BRAK POWOŁAŃ W AUSTRII

Pośród 30 męskich zakonów i kongregacji w diecezji wiedeńskiej w 25 nie ma wcale nowicjuszy. Z pozostałych 5 zakonów, zakon Dominikanów, ongiś odgrywający w życiu Wiednia tak wybitną rolę, posiada tylko 1 nowicjusza. Razem owe 5 zakonów posiadają 27 nowicjuszy, z których większość stanowią nowicjusze Zgromadzenie Słowa Bożego, kształcący się na misjonarzy, a więc mający Austrię opuścić.

Również i w zgromadzeniach żeńskich zaznacza się to samo zjawisko

zastraszającego kurczenia się liczby powołań. Na 40 klasztorów żeńskich 20 nie posiada wcale postulantek, a w pozostałych 20 jest postulantek 360, a więc więcej niż nowicjuszy w klasztorach męskich, ale jednak zdecydowanie za mało, by wypełnić luki, jakie przynosi z sobą wymieranie generacji najstarszej.

Podobnie wyglądają rzeczy w innych diecezjach austriackich. Zaczynają już powstawać trudności z obsadzeniem funkcji w klasztorach i w szkołach zakonnych. Narazie, luki wypełniane są przez dopływ księży, zakonników i zakonnic z Czechosłowacji i Węgier.

### PRZEMIANA W JAPONII

Dużo się ostatnio pisze w świecie o przewrocie, jaki się dokonywa w umysłowości narodu japońskiego. Np. jedno z czasopism amerykańskich pisze (cytujemy za paryską „La Croix”):

„Jest to widok w świecie nowy i dodający otuchy: widok całego narodu, który otwarcie przyznaje się do swoich błędów i nie ukrywa swego pragnienia znalezienia dla siebie nowych dróg, któreby go zaprowadziły do lepszej przyszłości. Konfucjusz rzekł: „Jeśli masz wadę, nie obawiaj się jej naprawić”. Zachód jakoś nie odznacza się chęcią wprowadzenia tej zasady w czyn. Potrzeba było dopiero, by pogański naród Wschodu ofiarował światu ten całkiem nowy przykład tak całkowitej przemiany na szczeblu całego narodu. Jest to coś tak nowego, że świat nie może się na to zdobyć, aby w to uwierzyć. A jednak to jest prawda. Bo Japonia jest w trakcie szukania nowego sposobu życia, któryby zastąpił militarizm jako receptę na narodową pomyślność.”

Jest rzeczą uderzającą, jak bardzo różni się dziś w swej postawie Japonia i Niemcy. Wśród dróg, nad których wybraniem Japonia się dziś zastanawia, drogą którą pociąga bardzo wiele japońskich umysłów i serc, jest droga przyjęcia wiary katolickiej.

### JESZCZE O KSIĘDZU BOUSQUET

Piszemy wyżej o pogrzebie misjonarza, ks. Bousquet, doprowadzonego w roku 1943 do obłądki i śmierci przez tortury policji politycznej japońskiej, która chciała na nim bezskutecznie wymusić uznanie cesarza Japońskiego za bóstwo. Został

on teraz ekshumowany z więziennego grobu i uroczystie pochowany. Podajemy obecnie kilka ciekawych wyjątków z przemówienia, jakie na pogrzebie jego wygłosił Japończyk, dr Seki.

„Jeśli idzie o nas, katolików japońskich, to nie ma wprost słów, zdolnych wyrazić głębi naszego żalu w obliczu podobnego postępowania japońskiej żandarmerii wobec księdza, który więcej, niż 40 lat temu opuścił swój kraj i wszystko poświęcił, aby przybyć tu pracować na chwałę Boga i na zbawienie dusz... Zachowajmy we wspomnieniu tego dzielnego misjonarza, który tyle pracował wśród nas. Temu 27 lat osiadł on w Nishinomiya w wynajętym domu; zaledwie 4 czy 5 chrześcijan tworzyło zawiązek nowej parafii. Dzisiaj parafia Nishinomiya liczy około 1000 chrześcijan, nie licząc tego, że wykrójono z jej dawnego obszaru trzy parafie nowe. Piękny kościół w Nishinomiya jest jednym z najpiękniejszych w Japonii. A wszystko to jest w znacznej części dziełem ks. Bousquet.”

Za swojego życia, ks. Bousquet wyrażał pragnienie, by mógł umrzeć jako męczennik. Marzył on o tym, by nawrócić rodzinę cesarską co w owych czasach wydawało się niepodobnym. Otóż, umarł on męczenną śmiercią, a rodzina cesarska jest podobno dobrze usposobiona wobec katolicyzmu.

Zostałem ochrzczony przed dwudziestu laty. Zawdzięczam to księdzu Bousquet. Buddyzm wydawał mi się religią, troszczącą się tylko o umarłych; spragniony byłem religii, której wpływ rozciągałby się na życie codzienne. Zawarłszy znajomość z księdzem Bousquet czułem, że nie przypomniał on żadnych mi bonzów: jego życie i jego nauka nawróciły mnie.

A teraz zwracam się do tu obecnych Ojców Misji Zagranicznych z Paryża. Ksiądz Bousquet został zamordowany przez Japończyków. Nie mamy więc żadnego prawa z jakkolwiek prośbą do was się zwracać. A jednak pozwalam sobie z prośbą do was się zwrócić. Zechciejcie, upraszam was usilnie, uzyskać od waszych przełożonych w Paryżu, by w dalszym ciągu co roku przysyłali nam młodych misjonarzy, którzy w swoim poświęceniu dla nas wstępowałyby w ślady ks. Bousquet.”

## NOTATNIK

### KUŁAK CZY KMIEC?

Polscy komuniści mają przed sobą trudne zadanie: chcą znaleźć nazwę odpowiadającą słowu „kułak”, którym przeważnie zamożnych ongiś chłopów rosyjskich.

Ród „kułaków” w Z.S.S.R. zaginął, ale trzeba jeszcze zlikwidować ten szkodliwy rdzawaj ludzki w krajach ludowej-demokracji.

Jak nazwać tych wrogów ludu? Prof. Zabko Potopowicz w artykule ogłoszonym w „Ekonomiście” nazwa ich „Kmieciami”. Ze strony jednak miarodajnej, bo w „Przeglądzie Gospodarczym” określenie to zostało uznane jako „nie zupełnie trafne”. Nic dziwnego, brzmi ono zbyt „sielsko”. Nie warto się wysilać, nie słowa — kułak nie zakasuje. W oczach komunisty maluje ono wszelkie przywary burżuazji — nadużycia siły, sknerstwo, wyzysk. Węgierskie „kułaki” dają sobie radę w ten sposób, iż wspaniałomyślnie ofiarowują powstającym „kołchozom” część swoich gruntów.

### BOHATERZY I MISTRZE

W Stanach Zjednoczonych zaplanowała nowa moda. Książka film, aktor, gwiazda ekranu otrzymują wyróżnienie tytuł, który podkreśla, że są najlepszymi wśród doskonałych.

Mówi się — „Książka tego roku”, „film tego roku”. Nawet drogą głosowania Pani Eleonora Roosevelt jest „kobietą tego roku.”

W Z.S.S.R. natomiast ustalają ten czy inny sloganowy tytuł, a tysiące obywateli zostają nim obdarzeni. Naprzykład towarzysze czy towarzyski, które udowodnią, że z 8 krów osiągnęły wskazane maksimum wydajności w mleku czy maśle lub że stu owiec wyhodują rekordową ilość jagniąt, czy mają kury które znośić będą 225 jaj rocznie — zostają — „bohaterami” socjalistycz-

nej pracy”. Pość takich „bohaterów” przekroczyła już 11.000.

W Polsce zaś jest moda na „mistrzów”. Z przemówienia p. Hilarego Minca (opowiadają, że nowy gmach ministerstwa Skarbu przeważnie pałacem „pod Hilarami”) dowiadujemy się „że na Krajowej Radzie Oszczędnościowej zrodziła się nowa kategoria — „mistrzów oszczędności”. Ilu już „mistrzów” wyprodukowano — nie wiadomo. Wiemy tylko, że dyktator gospodarki Polski zaleca, by „ich otaczać opieką i szacunkiem”.

### REKORD

Były premier australijski ma zmartwienie. Panu W. M. Hughlesowi wydawało się, że pobił wszystkie rekordy długowiecznej pracy parlamentarnej. Myślał, że wystrczy o jeden dzień pobić rekord Lloyd George'a, który wyniósł 54 lata osiem miesięcy i szesnaście dni. Tymczasem pomimo licznych gratulacji okazało się, że do pobicia rekordu jest jeszcze bardzo daleko. Złośliwy szperacz zacytował karierę parlamentarną p. Charles P. Villiers, posła z Wolverhamptonu, która trwała od 1835 do 1898. Odnazczył się tym, że nikt tego nie zauważył...

### „NAUKA O PRAWIDŁOWOŚCIACH”

„Ekonomista”, kwartalnik wychodzący w Warszawie, zadaje pytanie: „Co było najbardziej doniosłym w Polsce faktem w 1948 r.?” Ekonomisci w Polsce żyli spokojnie i nie zdawali sobie sprawy z tego, że to, co się stało, wystarczyłoby by „nauczec ekonomii w Polsce wyznaczone zostały nowe i trudne zadania”. Nie należy się zbyt dziwić, bo orzech do zgryzienia jest nie byle jaki. Okazuje się, że tym światoburem faktem było powstanie w Grudniu 1948 r. Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej „opartej na nauce Marksa

## NOWY KURS WIEDZY RELIGIJNEJ

P.K.S.U. Veritas zorganizował drugi cykl wykładów z zakresu Wiedzy Religijnej p.t. ISTOTA I NATURA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO. W serii pierwszej tego cyklu wygłosi 4 wykłady X. dr Wojciechowski. Pierwszy wykład odbędzie się 24 maja b.r. i będzie miał tytuł „Pojęcie Kościoła i jego początek”. W wykładzie X. M. Wojciechowski omówi pojęcie etymologiczne Kościoła, jego pojęcie rzeczowe oraz powstanie Kościoła.

Drugi z kolei wykład dnia 31 maja p.t. „Społeczna forma Kościoła” będzie dotyczył takich zagadnień jak: Natura społeczności — Kościół społecznością Boską i ludzką — Kościół społecznością doskonałą — Wdziawalność Kościoła Chrystusowego — Królestwo Boże a Kościół.

Następne dwa wykłady również w odstępach tygodniowych odbędą się dnia 7 czerwca i dnia 14 czerwca i obejmą zagadnienie: Istota Kościoła oraz (IV wykład) Chrystus i Kościół. Początek każdego wykładu o godz. 7.30 wiecz.

Wykłady odbędą się w sali Virgo Fidelis Convent, 189, Old Brompton Rd., (róg The Boltons) S.W. 5. Dojazd kolejką podziemną do Earls Court Station lub autobusami 30, 31 i 74.

Na pokrycie kosztów rzeczowych dobrowolne datki przy wejściu na salę.

Prosimy naszych Czytelników, aby w wykładach wzięli jak najliczniejszy udział i aby udział swój jak najprędzej zgłosili do Veritas 21 Earls Court Sq. S.W. 5, Tel. FLA 1509 i FLA 1581.

## ZAPOŻYCZENIA Z LITERATURY POLSKIEJ

Dokończenie ze str. 2

się „zapozyczyć” całkowicie powieść Miłkowskiego. Dokonawszy tłumaczenia (w paru miejscach poskracał i popuszczał niektóre ustępy) — wydał je w roku 1882, w dwóch tomach, pod fascynującym tytułem „Annunziata Grimani” jako własny utwór. Miłkowski, gdy się o tym dowiedział, zaczął robić gwałt, że mu się dzieje krzywda i wyrzekł na Anglików, co mu tym łatwiej przyszło, że miał nieszczególnie miłe wspomnienia z okresu, swego pobytu w Anglii. Sprawa przedostała się do prasy polskiej, zarówno warszawskiej jak i galicyjskiej i stała się na pewien czas głośną.

Trzeba jednak przyznać, że ów Oxley postąpił sobie stosunkowo uczciwie z powieścią polskiego pisarza. Prawda, że na karcie tytułowej umieścił swoje nazwisko jako autor, że zmienił jej tytuł, że skracał i opuszczał niektóre części — we wstępie jednak, wyraźnie zaznaczył, że jest to utwór Miłkowskiego, przez niego tylko dopasowany do gustu czytelnika angielskiego. Za to dopasowanie „zarezerwował” sobie prawo figurowania na karcie tytułowej jako autor oraz... honorarium.

W kilka lat później, w sposób o wiele prostszy, został zapożyczony dla piśmiennictwa angielskiego „Jan-ko Muzykant” Sienkiewicza. Anonimowy autor rozprawy o jego powieściach, pomieszczonej w r. 1889 w „Blackwood's Edinburgh Magazin” pisze, że zapożyczenia tego dokonał „jeden z naszych najpopularniejszych współczesnych powieściopisarzy”, zmieniając w noweli polskiego autora... nazwiska jej bohaterów i przenosząc akcję do innego środowiska. Ów autor zaznacza również, że ten sławny powieściopisarz zgrzeszył w ten sposób nie po raz pierwszy i że już uprzednio pożyczał sobie całe strony z Gogola i Kraszewskiego.

Nie zdołaliśmy niestety dotrzeć, kim jest ów „znakomity autor”, który tak bardzo cenil literaturę polską...

Józef Jasnowski



